

NEMESIS

BYŁA BRONIĄ.
MOŻE STAĆ SIĘ ZAGŁADĄ.



S.J. KINCAID

Przetłumaczyła Anna Hikierł-Bereza

Young

NEMEZIS

BYŁA BRONIĄ.
MOŻE STAĆ SIĘ ZAGŁADĄ.



S.J. KINCAID

Przełożyła Anna Hikiert-Bereza

Young

TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Nemesis. The Diabolic #3

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczynie: Agnieszka Fiedorowicz
Redakcja: Agata Przywara
Korekta: Katarzyna Sarna
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Ilustracja na okładce: © AnastasiaOsipova; © Niklas;
© PNG Lab; © erllre; © 3d_kot / Stock.Adobe.com
DTP: pagegraph.pl

The Diabolic by S.J. Kincaid
Polish Language Translation copyright © 2026 by Young an imprint
of Wydawnictwo KobiECE Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.
Original English language edition copyright © S.J. Kincaid 2020

Published by arrangement with Simon & Schuster Books for Young Readers,
An imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted
in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying,
recording or by any information storage and retrieval system, without permission
in writing from the Publisher.

Copyright © for the Polish translation by Anna Hikiert-Bereza, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2026
ISBN 978-83-8417-181-3

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



Wnocy niebo zapłonęło głębokim szkarłatem. Zapowiadało zagrożenie, które nadciągało z kosmosu.

Niewielu w galaktyce słyszało o Anagnoresis, małej planecie na granicy Imperium. Pobliski skrawek złośliwej przestrzeni rozrastał się powoli, niepostrzeżenie, od dziesięcioleci. Był on lśniącym nagrobkiem statku, który zniknął podczas próby wejścia w nadprzestrzeń.

Na początku pęknięcie wydawało się niewielkie: stanowiło praktycznie świetlistą drzazgę. I pozostałoby tam, zapomniane, gdyby nie Eros.

Eros był gazowym olbrzymem, który chronił Anagnoresis przed nadlatującymi asteroidami. W ciągu trzystu lat krążył wokół planetki, aż jej orbita zepchnęła go prosto w szczelinę nowotworu.

Chmury Erosa pochłonęły odrobinę światła i można było odnieść wrażenie, że złośliwa przestrzeń zaczyna znikać.

Mijały kolejne tygodnie, aż w końcu z chmur spowijających Erosa zaczął się wydobywać blask, który pożerał coraz więcej atmosfery gazowego olbrzyma. W ciągu następnych miesięcy planeta Eros przestała istnieć. Jej miejsce zajął rozległy pas białego i fioletowego światła – stela gazowego olbrzyma powiększająca się z każdą upływającą sekundą.

Niewielka społeczność osadników zamieszkujących Anagnoresis zgromadziła się, żeby przyjrzeć się nowemu światłu na niebie. Zniekształcona przez atmosferę, żywa wstęga przypominała mały księżyc lub asteroidę. Koloniści byli zaniepokojeni – ale nie wiedzieli jeszcze, że powinni się bać.

Chłopiec zauważył to dopiero wtedy, gdy złośliwa przestrzeń rozrosła się do rozmiarów drugiego słońca rozświetlającego noc na niebie Anagnoresis.

Znał prawdę jako jedyna osoba na całej planecie: byli skazani na zagładę.

* * *

Mieszkańcy Anagnoresis nigdy wcześniej nie stanęli w obliczu podobnego kryzysu. Nie obawiali się owego zjawiska, ponieważ nie rozumieli, czym jest. Ich reakcja była źle ukierunkowana. Pozbawieni Erosa, martwili się asteroidami i kometami. Wspólnymi siłami zaczęli organizować nowy system obronny, który chroniłby niebo przed atakami ciał astralnych.

Wszystko należało zachować w ścisłej tajemnicy. Mieszkańcy Anagnoresis słyszeli historie o nienasyconych imperatorach z rodu Domitrianów, którzy wykorzystywali wszelkie powody, by odbierać planety swoim obywatelom i obdarowywać nimi faworyzowanych pochlebców. Postanowili więc nie informować nikogo z zewnątrz o dziwnych wydarzeniach w pobliskiej przestrzeni. „Sami rozwiązaliśmy ten problem – uznali. – Imperium nie może się o tym dowiedzieć, bo wykorzysta to przeciwko nam”.

Nie wiedzieli, że wśród nich żył jeden z Domitrianów, których tak się obawiali. Tyrus Domitrian dotarł na Anagnoresis, gdy szukał schronienia. Chciał uciec od swojej prawdziwej tożsamości i stać się zwyczajnym ośmiolatkiem wśród plebsu. Początkowo traktował to jak zabawę – śmiertelnie niebezpieczną, ale jednak zabawę.

Jak stać się niewidzialnym tutaj, na krańcu znanego wszechświata? Studiował pilnie zachowania i język miejscowej ludności. Nauczył się wymawiać spółgłoski i naśladować leniwą kadencję mowy Anagnoresjan. Miejscowi byli łagodni i mili, inni niż ludzie, których znał w Chrysanthemum. Nauczył się naśladować tę łagodność i odkrył, że tak naprawdę istniała ona w nim od zawsze. Mógł być dobrym dzieckiem, jak każde inne. Mógł się bawić, myśleć o zwykłych rzeczach i nie martwić się o nic pod bezpieczną opieką ojca.

Dla następcy galaktycznego tronu było czymś niesamowitym, że życie może toczyć się tak prosto i spokojnie.

Aż do dnia, w którym zdał sobie sprawę, co widzi na niebie.
Złośliwa przestrzeń!

Próbował wyjaśnić ojcu, Arionowi, dlaczego powinni się obawiać.

– Wasz wicekról najwyraźniej nic nie wie na temat prawdziwej natury tego zjawiska – powiedział. Bał się tak bardzo, że po raz pierwszy od wielu miesięcy wrócił do akcentu grandiencki, używając sformułowań typowych dla mieszkańców kosmosu. – Ojciec, czy on naprawdę obawia się uderzenia asteroidy? To czyste szaleństwo! To w tej chwili najmniejsze ze zmartwień! Ta anomalia zacznie się powiększać, aż nie będzie przed nią ucieczki. Musimy opuścić planetę. Porozmawiaj z nim. Niech zarządzi ewakuację!

Dorastając w sercu Imperium, Tyrus uważał za oczywiste, że ci, którzy byli blisko niego, mieli moc wprowadzania zmian. Ale jego ojciec, Arion, nie urodził się Domitrianem. Był zwykłym robotnikiem, mechanikiem, który obsługiwał boty serwisowe naprawiające wykorzystywane lokalnie maszyny górnicze. Został wybrany na rodzica przez matkę Tyrusa ze względu na swoje DNA.

Mimo to przyjął Tyrusa i starał się opiekować nim najlepiej, jak potrafił. Ale teraz żądania syna przypomniały Arionowi o różnicach dzielących ich światy. Nie posiadał mocy wydawania

rozkazów – i wcale nie chciał takiej władzy. W przeciwieństwie do syna, nie miał rozeznania w tym, co należało zrobić w podobnej sytuacji. Ufał osądowi swoich władców, którzy wiedzieli więcej niż on, i przypuszczał, że będą działać w najlepszym interesie wszystkich mieszkańców.

Dostrzegał jednak niepokój syna i próbował go złagodzić.

– Wicekról naradza się z komitetem ekspertów – powiedział Tyrusowi – i masz moją gwarancję, że pracują nad sposobem ocalenia naszej planety. Wiedzą, z czym mają do czynienia.

– Czyżby?

– Tyrusie – zaznaczył Arion stanowczo – nie zapominaj, że to ja jestem tu dorosły.

– Ale... – Tyrus urwał.

Arion ujął syna za podbródek. Nikt nie ośmieliłby się tak potraktować następcy tronu, ale dla Ariona był dzieckiem, synem. Tyrusowi ten gest wydał się bardziej pocieszający, niż powinien. Ojciec spojrział chłopcu w oczy.

– Pomyśl tylko: jesteś mądry, dorastałeś w kosmosie. Widzisz złośliwą przestrzeń przeświecającą przez naszą atmosferę. Nie pojmujesz, jak to działa? Chmury zniekształcają światło. Nie jest tak blisko, jak mogłoby się wydawać.

– Czy to... Czy to prawda? – Tyrus desperacko chciał mu uwierzyć.

– Widzisz to samo o wschodzie słońca, prawda? Światło jest wszędzie – nie jest zjawiskiem punktowym. Atmosfera wzmacnia je i rozprzestrzenia. To samo dzieje się w tym przypadku. Mamy znacznie więcej czasu, niż sądzisz.

Później Tyrus nienawidził się za tę nadzieję, która rozgorzała wówczas w jego sercu. Tak desperacko chciał uwierzyć w zapewnienia ojca...

I tak też zrobił. Zaufał tej złudnie komfortowej myśli, że jest ktoś, kto zna odpowiedzi, kto będzie działał racjonalnie

i ochroni wszystkich. Chciał wierzyć, że inni ludzie również mogą mieć rację.

Dwa dni później obudził go odległy szum, który spłoszył ptaki budzące się o poranku. Wyjrzał przez okno i zobaczył statki transportowe wzbijające się w niebo. Później się dowiedział, że ich kapitanowie zostali przekupieni, aby zachować problem układu gwiazdowego w tajemnicy. Obowiązkowa ewakuacja wciąż wydawała się ostatecznym rozwiązaniem.

Kiedy te powtarzane szeptem wieści dotarły do uszu Tyrusa, nie mógł powstrzymać się od myśli, że mieszkańcy planety stracili szansę na przetrwanie, gdy statki odleciały.

Odsunął od siebie wątpliwości. Wróciły dopiero w najgorszym z możliwych momentów – gdy było już o wiele za późno.

* * *

Planeta Anagnoresis miała być bezpiecznym miejscem.

Matka błagała Tyrusa, by odnalazł to miejsce, gdyby coś jej się stało:

– Opuść Imperium. Porzuć ten wzgardzony przez słońce tron. Nie jest tym, czego pragniesz – powtarzała Tyrusowi raz za razem. – Nasza rodzina jest toksyczna. Władza, którą posiadamy, będzie cię kosztowała duszę. Przysięgnij mi, że jeśli coś się stanie, uciekniesz. Nigdy nie wracaj do Chrysantemum.

– Tak właśnie zrobię. Przysięgam, matko.

I tak też się stało. Tyrus odnalazł ojca i poprzysiągł sobie, że nigdy nie wróci do Imperium.

W tamtym czasie zamierzał solennie dotrzymać słowa. Było to dla niego czymś oczywistym... dopóki złośliwa przestrzeń nie zaatakowała nieba; aż do nocy, kiedy nie mógł już spać, ponieważ szkarłatna poświata stała się tak jasna, że wlała się w jego sny. Sięgnął po płaszcz i wyszedł w czerwoną noc.

Powietrze było chłodne. Jego oddech tworzył zabarwione na różowo obłoczki, a buty chrzęściły pośród schnącej trawy. Nad jego głową krwawa rana złośliwej przestrzeni jarzyła się i pulsowała, a on, gdy tak się w nią wpatrywał, ujrzał prawdę.

Byli skazani na zagładę.

Oklamywał sam siebie.

Jego ojciec, lokalny rząd – wszyscy byli głupcami, a ich zapewnienia nie miały żadnej wartości. Tę planetę czekała rychła śmierć – nagle Tyrus pojął to z zimną jasnością. Przegapiliśmy szansę na ucieczkę wraz z transportowcami – pomyślał.

Teraz mieszkańców planety mogła uratować tylko jedna osoba.

Przełknął ślinę i zmusił się, by odwrócić wzrok od niebios i zejść do świata żywych. Delikatna, zimna bryza poruszała gałęziami drzew, niosąc ze sobą zapachy ziemi i soków, wonnych kwiatów i tego wszystkiego, co mogło umrzeć wraz z tym światem.

Wuj Tyrusa, imperator Randevald von Domitrian, mógł ocałić tę planetę. Ale kto by go o to poprosił?

Myślał, że Tyrus nie żyje. To było ważne, to było dobre. Dopiero w tym roku, w wieku dziewięciu lat, chłopiec odkrył, jak dobrze być kimś zwykłym – nie spadkobiercą imperialnego tronu, ale normalnym dzieckiem. Od dzieci oczekiwano, że będą posłuszne i będą wypełniały polecenia starszych. W zamian za to otrzymywały swobodę odkrywania, popełniania błędów, zadawania pytań, zabawy. Zасыpiały bez strachu i budziły się bez troskie.

Ale zwykle dziecko nie mogło poprosić imperatora o uratowanie planety.

Tyrus położył się pośród szorstkiej trawy – początkowo, gdy przybył na Anagnoresis, ta pozornie zwykła czynność wymagała od niego przezwyciężenia lęku i odrazy. Mieszkańcy kosmosu wzdrygali się na samą myśl o mikroorganizmach i bakteriach

obecnych w środowisku naturalnym. Teraz zmusił się do leżenia spokojnie i wpatrywania się w krwawą wstęgę nad jego głową. Świadomość pełzających po skórze zarasków zanikała stopniowo, a on trwał ze wzrokiem skierowanym w górę. Oczy go piekły i łzały, ale nie pozwolił sobie nawet na mrugnięcie.

Tylko udawałem, że jestem zwyczajny – pomyślał. Nie mógł słuchać starszych ani im wierzyć. Ojciec i rząd wmawiali, że nie ma się czym martwić. Ale Tyrus wiedział więcej niż oni wszyscy razem wzięci. To oni byli w błędzie.

Gdyby Domitrianowie dowiedzieli się, że Tyrus żyje, nie mieliby litości dla jego ojca, człowieka z plebsu, który wmieszał się w imperialne sprawy i ośmielił się ukrywać przed władcą jednego z nich.

Planeta mogłaby przetrwać... kosztem życia jego ojca.

O świcie serce ciążyło Tyrusowi w piersi jak kamień, ale nie podjął żadnej decyzji. I tak oto następnej nocy i przez kilka kolejnych wykradał się w zabarwioną krwawym szkarlatem ciemność. Próbował myśleć jasno, szukał właściwej decyzji, i nie wierzył już, by jakikolwiek dorosły mógł mu pomóc ją podjąć.

Aż wreszcie dokonał wyboru – powziął decyzję, której mieszkańcy Anagnoresis nie chcieli podjąć sami.

Tej nocy Arion odkrył jego nieobecność i znalazł go leżącego w wysokiej trawie w pobliżu ich domu.

Tyrus chciał wstać, ale Arion zaskoczył go, siadając obok.

– Nie możesz spać, Tyrusie?

Chłopiec zauważył, że jego ojciec nie uniósł wzroku. Nigdy nie patrzył zbyt długo w niebo. Dawniej Tyrus byłby skłonny złożyć to na karb optymizmu ojca, ale teraz wydawało mu się to dziecinne.

Nie przeprosił więc. Nie przestawił się na miejscowy akcent ani nie przyjął skruszonej pozy zwykłego chłopca przyłapanego przez ojca na wykradaniu się z domu po zmroku.

Jakże wygodnie było do tej pory udawać Tyrusa z plebsu, ale nie mógł już dłużej pozwalać sobie na bycie taką osobą.

Na powrót stał się Domitrianem.

Spojrzał Arionowi w oczy.

– Nie chcę spać, ojcze.

– Rozumiem – odparł mężczyzna.

Czerwone światło pogłębiło zmarszczki na czole mężczyzny. Tyrus poczuł, że coś w nim łagodnieje, rodzi się w nim tęsknota – za tą słabością, na którą nie mógł już sobie pozwolić. Gdy przemówił, w jego głos wkradły się jednak nuty delikatności, której nauczył się na tej planecie przez ostatni rok, a której żaden Domitrian nie powinien posiadać.

– Przez ostatnie miesiące nie udawałem twojego syna – powiedział powoli – ani nie próbowałem cię oszukiwać. Ja... naprawdę chciałem być Tyrusem z Anagnosisis.

Jego ojciec wydał z siebie krótkie, niemal bezdźwięczne parsknięcie. Nie było drwiące – raczej w jakiś sposób desperackie.

– I ja pragnąłem, aby tak się stało, Tyrusie. Zanim zrobisz coś pochopnego... proszę, zastanów się dobrze – powiedział.

– Jestem ci winien wdzięczność – odparł Tyrus. – Nigdy nie zaznałem takiego spokoju jak tutaj. Ale... – Pozwolił, by akcent grandiencji przeszedł w lokalny zaśpiew, w kadencję i rytm, które najlepiej dotrą do jego ojca. – Och, tato, czy nie rozumiesz? – Wskazał w górę. – To coś nas pożre! Złośliwa przestrzeń się nie kurczy. Nie zniknie, jeśli zamkniesz oczy. Spustoszy ten układ gwiazdny. Każdy mieszkaniec tej planety zginie – chyba że ucieknie. A czas mija...

Twarz Ariona zastygła w napięciu.

– Chcesz skontaktować się z wujem?

– Czy tego chcę? Nie. Ale muszę. – Tyrus wypuścił powietrze z płuc. – I... już to zrobiłem.

Nastala cisza.

Po chwili chłopiec z trudem wyznał:

– Wie, gdzie jestem. I że żyję.

Arion wyciągnął rękę, by wesprzeć się o ziemię, jakby nagle zakręciło mu się w głowie.

– Przyleci po ciebie...

Tyrus spróbował przełknąć ślinę, ale miał zbyt mocno ściśnięte gardło.

– Tak. Nie było czasu na zwłokę. Rozumiesz? Jeśli ta planeta ma zostać ocalona, należy działać teraz, już!

Znowu cisza.

– Transportowce odleciały – zauważył Arion głuchym tonem.

Tyrus wielokrotnie analizował dostępne opcje. Nie było innego wyjścia. A jednak wciąż dręczyło go poczucie winy, które teraz przybrało na sile.

– Tak – przyznał. – Transportowce odleciały i nie wrócą prędko. On zjawi się dużo wcześniej.

I cię zabije – dokończył w myśli. – Z mojego powodu, z mojej winy.

Arion z trudem zaczerpnął tchu i wstał z ziemi. Tyrus nie ruszył się z miejsca, ale odkrył, że w pewnym momencie przyciągnął kolana do klatki piersiowej, jakby próbował przygotować się na coś, co już wkrótce miało nadejść.

Jego ojciec miał wszelkie powody, by się na niego wściec.

– Chodź – powiedział zamiast tego Arion, a gdy Tyrus zamrugał, aby przejaśniło mu się przed oczami, zobaczył, że ojciec wyciąga do niego rękę.

Chwycenie jej było najtrudniejszą rzeczą, z jaką kiedykolwiek przyszło mu się dotąd zmierzyć w jego młodym życiu.

Arion pomógł mu wstać, a potem cofnął dłoń. Tyrus stał drżący w nocnym powietrzu, które wydawało się znacznie zimniejsze niż jeszcze kilka minut temu. Dla planety – pomyślał, ale

nie mógł się zmusić, żeby powiedzieć to na głos. To dla dobra planety, musiałem...

– Jeśli tam wrócisz – powiedział cicho Arion – znajdziesz się w samym centrum wydarzeń. Będziesz w takim samym niebezpieczeństwie, jakie za sobą zostawisz.

Tyrus z niepokojem stwierdził, że oczy pieką go od łez. Nigdy nie płakał. Teraz też nie zamierzał.

Spodziewał się, że ojciec będzie martwił się o siebie. Zamiast tego Arion obawiał się o swojego syna.

Gdy Tyrus w końcu był w stanie wydobyć z siebie głos, był on zdławiony od wstydu.

– Wiem o tym. Babka bez wątpienia będzie próbowała mnie zabić, tak jak moją matkę. Być może zdołam zabić ją wcześniej...

Inni mogliby wyśmiać takie słowa z ust dziewięciolatka. Arion znał go jednak zbyt dobrze.

– Być może – przyznał cicho. A potem, po chwili przerwy, spojrzał na złośliwą przestrzeń i przyjrzał się jej otwarcie. – Ile mamy czasu?

Tyrus potrząsnął głową. Nie wiedział. Czuł w żołądku lodowaty ciężar niepokoju, a kończyny drżały mu jak w febrze. Chciał uciec, aby nie musieć dłużej stawiać temu czoła. Co takiego uczynił? To był jego ojciec... Arion powinien go nienawidzić. Dziecko, które było w stanie zamordować własnego rodzica? Cóż za ironia: Tyrus był Domitrianem z krwi i kości.

– Poszukam innej kwatery – bąknął – gdy będę czekał na przybycie imperatora.

Ale kiedy chciał odejść, ojciec złapał go za ramię i obrócił z powrotem ku sobie.

– Tyrusie. – Ujął go za podbródek, zmuszając syna, by spojrzał mu w oczy – ciemne, o nieodgadnionym spojrzeniu, w twarzy spowitej czerwonym blaskiem. – Wiem, dlaczego to zrobiłeś.

„Nie miałem innego wyjścia” – cisnęło się Tyrusowi na usta, nie był jednak w stanie wypowiedzieć tych słów na głos. Byłyby równoznaczne z proszeniem o przebaczenie, a on na nie nie zasługiwał.

– Rozumiem – dodał jego ojciec. – Wydaje ci się, że zdołasz to naprawić.

– Ktoś musi. – Gdyby grandiencji, któremuś z imperatorów na tym zależało, mogliby rozwiązać problem złośliwej przestrzeni całe wieki wcześniej. Zamiast tego pozwolili, by się plenila. Nawet najbardziej zacofane zakątki Imperium nie były już bezpieczne. – Jeśli tak dalej pójdzie, pochłonie wszystko, rozumiesz? Ale jeśli zostanę imperatorem... jeśli będę ubiegał się o tron... Ojczy, mogę to naprawić. – To był jego cel: wiedział to w głębi duszy. – I nie będę taki jak inni, którzy dochodzą do władzy. Nie zapomnę, co sobie obiecałem.

– Wiem, że nie zapomnisz – zapewnił go Arion. – Jesteś moim synem.

– Przepraszam. – Głos załamał się Tyrusowi. Nagle ciężar jego smutku przytłoczył go tak mocno, że nie mógł oddychać. – Tato, tak bardzo mi przykro!

Ramiona ojca, robotnika pracującego całe życie fizycznie, były silne i umięśnione. Przyciągnęły Tyrusa mocno do szerokiej, cieplej klatki piersiowej i przez krótką chwilę dziewięcioletek znów poczuł, jak to jest być zwykłym dzieckiem: chronionym i pielęgnowanym przez kogoś silniejszego, kto pragnie tylko jego bezpieczeństwa i radości.

Ale nawet gdy odwzajemniał uścisk, wiedział, że już nigdy nie poczuje się bezpiecznie. Cel jego istnienia stał się nagle jasny i wyraźny w krwawym świetle złośliwej przestrzeni – i był tylko jeden sposób, aby go osiągnąć.

Musiał zostać imperatorem.

Wtedy ocali galaktykę.

PIĘTNAŚCIE LAT PÓŹNIEJ

– Jeszcze chwilę... – Głos imperatora Tyrusa von Domitriana był cichy, ale słycać go było wyraźnie w każdym zakątku sali zgromadzeń.

Przez ostatnie kilka tygodni Chrysantemum podróżowało przez nadprzestrzeń. Tysiąc statków, które trwały połączone przez wieki, odłączyło się od siebie. Przemieszczały się wspólnie do nowego układu gwiazdnego, z dala od spustoszonego sześciogwiazdnego układu rodu Domitrianów.

Imperator stał przed wielkimi oknami panoramicznymi i spoglądał na tę odległą plamkę światła, która niegdyś była sercem Imperium. Wszyscy obecni wiedzieli, co się wydarzyło: ich władca w jakiś sposób stworzył złośliwą przestrzeń i pozwolił, aby rozdarła ich macierzysty układ.

Dzisiejszy dzień miał być kulminacją jego poczynań.

Satelity dalekiego zasięgu wyświetliły w sali zgromadzeń holograficzny obraz: transmitowany na żywo widok hiperolbrzyma Hefajstosa, największej i najpotężniejszej z sześciu gwiazd układu Domitrianów. Złośliwa przestrzeń sięgała po niego coraz zachłanniej, zdzierając warstwę wodoru za warstwą.

– Lada chwila... – mruknął imperator, wpatrując się z zachwytem w widniejącą za iluminatorami przestrzeń.

Stał w pewnej odległości od pozostałych. Jego poddani, przedstawiciele grandencji, wymieniali za jego plecami niespokojne spojrzenia, ale nie odważyli się na nic więcej. Nad ich głowami unosił się rój wartobotów połączonych z umysłem imperatora – ich mechaniczne oczy śledziły czujnie twarze zgromadzonych, wypatrując najmniejszych oznak zagrożeń. Grandencja nie zdążyła jeszcze ocenić zakresu kontroli imperatora nad maszynami.

W przypadku niektórych Domitrianów władza nad berłem oznaczała możliwość głosowej kontroli nad botami znajdującymi się w zasięgu wzroku. Inni byli jednak w stanie wydawać polecenia nawet odległym systemom uzbrojenia.

Zgromadzeni nie mieli złudzeń co do miłosierdzia imperatora. Pomogli mu zabić tysiące jego politycznych rywali. Najznamienitsi członkowie grandienccji zadławili się na śmierć mgłą rozpuszczającą lub zostali wypchnięci wprost w złośliwą przestrzeń. Wierni przybocznicy pomogli imperatorowi zasiać zagładę w nadziei na zdobycie większych wpływów i władzy.

Zamiast tego stali się jego więźniami, milczący i nieśmiejący się poruszyć. Ich młody imperator zmienił się w przerażającą bestię, kapryśną i nieprzewidywalną. Oczekiwał nadchodzącej katastrofy ze spokojem – ba, nawet się uśmiechał!

Jego uśmiech stał się szerszy, gdy wreszcie i Hefajstos wykrwawił w przestrzeń ostatnie resztki swojej wodorowej posoki. Dokonało się.

Na holograficznym obrazie ogromna gwiazda gwałtownie się skurczyła i zapadła do środka. Obserwatorzy wydali z siebie zbiorowy okrzyk będący wyrazem mieszanki przerażenia i zachwyty.

Wtedy gwiazda eksplodowała: iluminator rozjaśniła gigantyczna plama światła pochłaniająca czerną przestrzeń kosmiczną.

– Oto jest! – Imperator wybuchnął gromkim śmiechem, gdy Hefajstos przekształcił się w supernową na tle rozległego gobelinu ciemności. Gwałtowna eksplozja z każdą chwilą przybierała na sile: jęzory światła wystrzeliły, rozświetlając próżnię. Nieprzenikniony mrok zalała fala osłepiającego blasku, na chwilę tłumiąc lśnienie okolicznych gwiazd, nim nie przygasła.

Imperator odwrócił się, aby spojrzeć na zgromadzonych: ciemna sylwetka na tle dokonującego się za jego plecami dzieła zniszczenia. Rozłożył ręce wyczekująco, zachęcająco.

– Oto – powiedział – nasz triumf.

Przez długą chwilę w pomieszczeniu panowała głucha cisza. Nie było w tym żadnej chwały, tylko czysta destrukcja.

– Wy, którzy boicie się plebsu – parszknął szyderczo imperator. – Czy wyobrażacie sobie, by kiedykolwiek byli zdolni pokonać taką potęgę? Stworzyłem złośliwą przestrzeń. Rozpaliłem supernową. Władza nad kosmosem należy do mnie. A także, moja lojalna garstko poddanych, do was.

W końcu do zgromadzonych przedstawicieli grandiencki zaczęło stopniowo docierać znaczenie tego, co się właśnie wydarzyło, i przerażenie przekształciło się w podziw. Po chwili ten i ów, co sprytniejszy i ambitniejszy, zareagował we w ł a ś c i w y sposób: zaczął bić brawo.

Gdy tylko rozległy się pierwsze nieśmiałe oklaski, kolejne ręce dołączyły do nich w wyrazie zbiorowej aprobaty. Wówczas twarz imperatora rozjaśnił szeroki uśmiech pełen samozadowolenia.

Jak na komendę, klaskanie przerodziło się w dzikie wiwaty i gromadne toasty wznoszone pucharami z winem. Członkowie grandiencki wychwalali „najwspanialszy pokaz świetlny” w historii Imperium i błogosławili młodego imperatora za ten niezwykły wyczyn.

Kiedy wrzawa nieco ucichła, imperator ponownie przemówił:

– Najjaśniej Oświecony? Wystąp naprzód.

Wikariusz Fustian nan Domitrian – podszywający się obecnie pod interdykta, najwyższego rangą członka helionickiej wiary – wyszedł z tłumu i padł na kolana u stóp imperatora, łapiąc knykcie władcy, aby przycisnąć je do swoich policzków.

Interdykt nigdy nie pokłoniłby się imperatorowi.

Ale prawdziwy interdykt nie żył. Ten tutaj był tylko marionetką noszącą maskę świętego człowieka, lalką, która miała wypowiadać słowa, jakich zażyczył sobie imperator, i robić to, co imperator kazał.

– Powiedz mi coś – poprosił teraz władca. – Gwiazdy odzwierciedlają wolę naszego boskiego Kosmosu, czyż nie?

– W rzeczy samej, Wasza Najwyższa Czcigodność. – Głos Fustiana lekko drżał.

– Można więc powiedzieć, że gwiazdy są posłuszne świętości.

– Rzeczywiście, to prawda.

Usta imperatora rozciągnął dziwny uśmiech.

– A ja, o Najjaśniejszy Oświecony, właśnie wpłynąłem na gwiazdy.

Fustian otworzył usta, ale nie padło z nich żadne słowo. Wpatrywał się tylko w imperatora, bez wątpienia próbując wyczytać z jego tajemniczego uśmiechu, co powinien powiedzieć.

– Stworzyłem złośliwą przestrzeń. I supernową. Ja! – Tyrus patrzył na niego wyczekująco.

– W rzeczy samej.

– A co to oznacza, Najjaśniejszy Oświecony?

Fustian zaczął dygotać.

– Ja... nie wiem.

Imperator przyglądał mu się bez mrugnięcia pustym wzrokiem przywodzącym na myśl spojrzenie gada. Nad głowami zgromadzonych rozległo się złowieszcze buczenie wartobotów, a wtedy z gardeł członków grandiencji wydarł się cichy okrzyk przerażenia. Moźni kulili się i chowali głowy w ramiona, podczas gdy zabójcze maszyny zaczęły sunąć w stronę imperatora, skupiając swoją uwagę na trzęsącym się jak galareta Fustianie.

– Spróbuj zgadnąć – zachęcił go imperator.

Mówił obojętnym tonem, ale słowa brzmiały jak ostrzeżenie: zła odpowiedź oznaczała śmierć. Nikt w to nie wątpił. W końcu w kopule balowej tego samego statku zebrani byli świadkami, jak przebija mieczem swoją żonę – kobietę, która stała się światłem jego życia, dla której był gotów umrzeć – a przynajmniej tak wcześniej deklarował.

Nienawidzili jej. Nienawidzili... i bali się jej zarazem. Nie cieszyli się jednak zbyt długo z jej śmierci, bo w końcu dotarło do nich jej prawdziwe znaczenie.

Skoro imperator mógł zamordować ukochaną żonę, to życie każdego z nich było dla niego niczym.

Choć jeszcze przed chwilą Tyrus von Domitrian spoglądał na nich z uśmiechem, teraz w ich szeregach zagościł strach, gdy uświadomili sobie, co może im zrobić, jeśli dadzą mu powód do niezadowolenia.

Fustian pochylił głowę, śmiertelnie blady, i wziął głęboki oddech. W końcu uniósł zamglony desperacją wzrok na swojego władcę. O, tak – wiedział już, co powinien powiedzieć.

– Wpłynąłeś na gwiazdy, Wasza Czcigodność, więc musisz być... bogiem!

Tylko najwięksi głupcy na sali ośmielili się okazać niedowierzenie.

Ale ich imperator uśmiechnął się jak szaleniec, a jego oczy rozgorzały aprobatą.

– Naprawdę tak myślisz?

– Jestem tego pewien. Jestem absolutnie pewien! – oznajmił z przekonaniem Fustian. – Jesteś bogiem! – Wstał i zwrócił się do pozostałych. – Nie widzicie tego? Nie rozumiecie? – W jego głosie słychać było desperację. – Jaki... Jakież blask od niego bije! Czy go dostrzegacie?

Odpowiedziała mu pełna oszołomienia cisza.

– Z pewnością je widzicie! – Fustian osłonił oczy, jakby oslepiony światłem, którym rzekomo emanował Tyrus. – Och, jakie to inspirujące! Jakież szczęście nas spotkało! Pośród nas jest żywy bóg! – Ponownie upadł na kolana, po czym padł na płask, a jego półprzejryste ceremonialne szaty rozścieliły się wokół niego. – Chwała! Chwała Boskiemu Imperatorowi Tyrusowi! Chwała Boskiemu Imperatorowi!

Imperator gardził Fustianem nan Domitrianem. W przeszłości widywano, jak odtrącał dłonie marionetkowego interdykta, gdy ten łapał Tyrusa za stopy, i jak szydził ze służalczej czci, jaką okazywał mu wikariusz zmuszony do wcielania się tę rolę.

Dziś jednak uśmiechnął się do niego szeroko, z sympatią – niczym wyrozumiały rodzic do dziecka, które wręczyło mu właśnie drobny upominek.

– A więc naprawdę to widzisz... – powiedział czule. Wyciągnął rękę, by pomóc drżącemu Fustianowi wstać, i delikatnie ujął go za ramiona. – Możesz być pewien, że nagrodzę cię ponad twoje najśmielsze wyobrażenia za twą... przenikliwość.

– Wasza Najwyższa... Boska Czcigodność, dziękuję ci – wyszeptał zdumiony Fustian.

Imperator spojrział tymczasem z wyczekiwaniem na resztę członków grandiencki.

– Chwała! – ryknął do nich Fustian, ośmielony wypinając pierś. – Cześć! Jako interdykt nakazuję wam złożyć hołd naszemu Boskiemu Imperatorowi Tyrusowi!

Okno za plecami imperatora wciąż rozświetlała lśniąca luna supernowej, podczas gdy wartoboty ponownie uformowały krąg nad głową Tyrusa, jakby wieńczyły go koroną ze śmiercionośnej broni, gotowe w mgnieniu oka wypełniać rozkazy swojego pana.

Jednak to następna wypowiedź Tyrusa von Domitriana wywołała wśród zgromadzonych prawdziwe poruszenie.

– Jeśli rzeczywiście jestem boską istotą, będę potrzebował do realizacji moich celów grona najbardziej uprzywilejowanych poddanych. Najwierniejszych spośród moich uczniów. Co wy na to? – Powiódł po członkach grandiencki spojrzeniem, w którym lśniła obietnica.

W przeszłości wielu z nich sprzeciwiało mu się – w czasach, gdy pochłonięty młodzieńczymi marzeniami, napędzany

idealistycznymi mrzonkami, był szaleńczo zakochany w diabolicie, gotów poświęcić ich na ołtarzu swojej wizji egalitarnej galaktyki. Jednak ta istota – imperator – stojąca teraz przed nimi, została ukształtowana przez cynizm, venalox, a także przez chciwość. To była postać, która przemawiała do ich najgłębszych instynktów. Ten Tyrus von Domitrian był imperatorem, którego działania rozumieli i im przyklaskiwali.

W jego żądaniu kultu kryła się obietnica: ukorzcicie się przede mną, a wynagrodzę was tysiącrotnie.

I tak oto nadeszło pierwsze nieśmiałe:

– Cześć!

– Niech żyje! – odezwał się inny głos.

– Biję od niego oślepiający blask! – zawołał ktoś trzeci. – On jest bogiem!

– Nasz Boski Imperator!

– Boski Imperator Tyrus!

Jak zagarnięci falą przyływu, członkowie grandienccji rzucili się na kolana, wołając:

– Chwała Boskiemu Imperatorowi! Chwała!!!

Już wkrótce zniknęły ostatnie resztki skrępowania, które powstrzymywało członków grandienccji przed radosnym płaszczaniem się przed Tyrusem, ponieważ nabrali niezachwianego przekonania, że w końcu odrodził się w ich szeregach. Mieli świadomość, że nie jest bogiem, ale z pewnością był cynicznym, żądnym władzy megalomanem, a Imperium od dawna kształtowali tacy właśnie tyrani.

Czym w końcu był bóg, jak nie głosem przeznaczenia? Kimś, kto mógł rozpalić supernową, zabić człowieka jedną myślą, dzierzył w dłoni całą galaktykę i helionicką wiarę. Czy ktoś taki nie zasługiwał na miano bóstwa? Jego władza nad ich życiem była całkowita i niezniszczalna – czyż to nie była domena bogów?

Gdy padli na kolana, Tyrus uśmiechnął się i zaczął hojnie rozdawać przywileje:

– Monopol na handel blaskiem nowej dla ciebie, senatorze von Sornyx! A tobie, Credenzo Fordyce, przyznam za ten pokaz wiary Ramię Gorgony!

Okrzyki i wiwaty stawały się coraz głośniejsze. Gdy komnata w sercu galaktycznego Imperium wypełniła się głosami wołającymi: „Nasz Boski Imperator! Chwała naszemu bogu Imperatorowi!”, Tyrus przeszedł przez tłum, udzielając łask. W swojej wielkoduszności pozwolił zebrany nawet czepiać się swoich stóp, przyjmując ich cześć jako swoje prawo – czyż w końcu nie wszystko to należało do niego? Wywołał supernową, a pokaz tak niszczycielskiej mocy, poparty uwielbieniem grandiencki, zdołałby zamknąć usta nawet najbardziej niepokornym spośród plebsu.

Rozmieszczone w strategicznych punktach w całej sali jednostki monitorujące Chryszantemum zarejestrowały ten moment, uwieczniając go dla potomnych. Przez następne eony historycy tragicznych i brutalnych rządów Tyrusa von Domitriana mieli debatować nad znaczeniem tego dnia. Czy to tutaj tak naprawdę zaczęło się szaleństwo imperatora? Czy był to przełom w dziejach jego rządów?

Niektórzy głośno temu zaprzeczali. Zamiast tego wskazywali na wcześniejsze punkty w przeszłości, na lata, które Tyrus spędził pod kontrolą Alectara von Pasusa. Senator uzależnił zniewolonego imperatora do neurotoksycznego leku, venaloxu, znanego ze swojego szkodliwego wpływu na mentalność – pozbawiającego empatii i niszczącego sumienie. To właśnie, uznali, był okres transformacji, który zmienił młodego idealistę w brutalnego tyrana.

Ale stopniowo, na przestrzeni wieków, wypracowano konsensus. Ani działania von Pasusa, ani urojenia boskości młodego

Tyrusa nie mogły w pełni wytłumaczyć tego, kim stał się ostatecznie imperator galaktyki. Klucz do tego procesu tkwił gdzie indziej, w osobie, która uruchomiła tryby maszyny jego dojścia do władzy, degeneracji, a następnie upadku.

Tylko ona mogła przeciwstawić się szalonemu imperatorowi. Tylko ona miała dość siły i odwagi, aby mówić, gdy inni milczeli, oraz zaciekłość, by atakować, gdy nikt inny nie śmiał sięgnąć po broń.

Historycy nie wiedzieli tak wiele, jak im się zdawało, a ich zapiski nie były tak kompletne, jak zakładali. Niemniej jednak wiedzieli wystarczająco dużo.

Skupili się więc na Nemezis.

1

Moją twarz znała cała galaktyka, ale nikt mnie jak dotąd nie rozpoznał.

Dzisiaj jednak ktoś mi się przyglądał. Czułam na sobie czyjś wzrok.

Zatrzymałam się... A kroki rozbrzmiewające za moimi plecami również ucichły.

Byłam śledzona.

Ruszyłam ulicą, płynnie podejmując przerwana wędrowkę. Interesujące. Minęły miesiące, odkąd ostatni raz stanęłam w obliczu zagrożenia. Prawdę mówiąc, zaczynałam się już nudzić.

Niedola było stałym elementem życia w kolonii zwanej Cieniem Diabła. W tej najbardziej odległej i zacofanej z prowincji frustracja kipiała w każdym sercu, sączyła się niczym jad z każdego wypowiedzanego słowa. Mieszkańców przepęśniał gniew wiecznie szukający ujścia.

Samotna młoda kobieta przyciągała drapieżniki niczym magnes.

Mogłabym uniknąć kłopotów, gdybym próbowała wtopić się w tłum. Mogłam ściąć długie włosy, nosić obszerne ubrania, chować głowę w ramionach... Sam mój wzrost i budowa ciała

mogłyby przekonać wrogo nastawionych ludzi, że jestem silnie umięśnionym mężczyzną. Ale jakaś zatwardziała, złośliwa cząstka mnie nie chciała dłużej się ukrywać.

Zamiast tego nosiłam rozpuszczone długie włosy w kolorze jasnoblond. Ostatnio ten odcień stał się modny i widziałam go teraz wszędzie, więc jaki był sens go zmieniać? Kiedy szłam ulicą, nie garbiłam się. Nie starałam się unikać wzroku nieznamymych. Na każde spojrzenie odpowiadałam spojrzeniem prosto w oczy.

To byli tylko ludzie. To oni powinni się ukrywać przede mną.

Jedyną rzeczą, która maskowała moją prawdziwą tożsamość, było oparzenie po prawej stronie twarzy. Za ten drobny przybytek do anonimowości mogłam podziękować Neveni, której zamierzałam się odwdziżyć – jeśli jeszcze kiedykolwiek ją spotkam.

Ponownie zwolniłam, więc mogłam ocenić, ile osób za mną podąża. Subtelne przerwy między kolejnymi krokami...

Trójka.

Szkoda.

Liczyłam na prawdziwe wyzwanie.

W myśli wymieniłam listę zasad, które ustaliłam: nie atakować niesprovokowana i unikać pościgów bez względu na to, jak bardzo by mnie to bawiło. W końcu to nigdy nie było fair, a pogoń podsycala we mnie mroczne instynkty, z którymi postanowiłam walczyć.

Byłam diaboliką – stworzoną do mordowania, jasne, ale nie jakąś rozszalałą bestią.

Racjonalnie myślące istoty nie rzucały się natychmiast w pościg za uciekającymi, a ja przy braku dowodów nie mogłam zakładać, że znam czyjeś motyw. Jednak nawet w momencie, w którym sobie o tym przypominałam, nadstawiałam uszu,

wsluchując się w dźwięk kroków, a moje kończyny zaczęło przeżywać przyjemne podniecenie.

Przestań – nakazałam sobie w myśli i się zatrzymałam.

Minęło kilka sekund, zanim moi prześladowcy mnie dogonili.

Trójka szemranych typów obdarzyła mnie szyderczymi uśmiechami, otaczając mnie.

– Wyglądasz, jakbyś się zgubiła, dziewczynko! – zawołał największy z nich.

Patrzyłam na nich przez dłuższą chwilę.

Mój całkowity brak lęku często odstraszał mężczyzn, którzy szukali bezbronnych ofiar. Większość słuchała podszeptów instynktu podpowiadającego im, że coś jest ze mną nie tak, i dzięki temu udawało im się ujsć z życiem.

– Posłuchajcie – powiedziałam cicho, ale dobitnie. – Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie śledził. Teraz odejdę, a wy pójdziecie w innym kierunku. W przeciwnym razie nie będę miała dla was litości. – Z tymi słowy odwróciłam się do nich plecami. Moim oczom ukazała się ciemna alejka, w którą skręciłam. Ślepy zaułek: idealnie. Oparłam się o ścianę i czekałam.

Wkrótce się pojawili.

– Od tyłu wyglądałaś lepiej – zawołał jeden z nich, z potarganymi włosami, a pozostała dwójka się roześmiała. – To coś na twojej twarzy... To jakaś zaraza?

Mogłam skłamać na temat blizn i powiedzieć, że to choroba. Może zgnilizna skóry? To mogłoby ich odstraszyć. Ale nie byłam w nastroju na uprzejmości. Po prostu czekałam.

– Odpowiadaj, ty brzydka suko! – warknął mężczyzna. – Jestem dla ciebie miły.

– Tak, jesteśmy naprawdę mili! Prawda? – parsknął największy z nich, szturchając łokciem trzeciego, do tej pory milczącego i trzymającego się z tyłu.

Ten zaśmiał się tylko nerwowo i wymamrotał:

– Może powinniśmy jednak sobie pójść?

– Nie, nie, ona musi nam powiedzieć, że jesteśmy mili – upierał się ten z niechlujną czupryną. – Właściwie to powinna nam podziękować. No, podziękuj nam za to, że jesteśmy mili dla takiej brzydkiej suki!

Następnie zmniejszył dzielący nas dystans i podszedł tak blisko, że poczułam zapach jego ciała, zobaczyłam pory na jego nosie i luki w szczerbatym uśmiechu. Przyłożył jedną dłoń do muru obok mojej głowy, a potem wsparł drugą z drugiej strony.

– I co? Powiesz coś teraz? A może... teraz? – zapytał, opuszczając ręce na moje ciało.

Cóż, ostrzegałam ich.

Uderzyłam go wymierzonym z dołu ciosem w szczękę, a jego kości wydały z siebie satysfakcjonujący chrzęst, gdy jego kręgi szyjne pękły, co zabiło go na miejscu. Następnie skoczyłam do przodu, chwytając obu jego towarzyszy za ramiona, zanim zdążyli zareagować, i przyciągnęłam ich bliżej siebie.

– Który chce być następny? – warknęłam.

W ich oczach załśniła panika. Uderzyłam głową w twarz większego, a drugiego rąbnęłam pięścią w żebra, aż chrupnęło.

Większy zatoczył się, chwytając się za głowę, a gdy potknął się o ciało swojego martwego towarzysza, wydał z siebie gniewny pomruk.

– Murph? Murph! Ona go zabiła! Ona... – Sięgnął za pazuchę i wydobyl ostrze, które załśniło złowrogo.

Chlasnął nim, celując w moją twarz. Prościzna. Złapałam go za nadgarstek. Nasze spojrzenia się spotkały i dostrzegłam w jego oczach niedowierzanie, gdy powoli wykręciłam mu rękę, aby wycelować ostrze w jego stronę. Był tak potężnie zbudowany, że prawdopodobnie nigdy w życiu nie został przez nikogo pokonany, a teraz obezwładniała go kobieta...

– I co teraz? – spytałam złośliwym szeptem.

– Ty suko! – wycedził, czym przypieczętował swój los.

Wystarczy. Przestałam się powstrzymywać i wbiłam ostrze w jego oko. Następnie odwróciłam się do trzeciego mężczyzny, najbardziej niezdecydowanego z całej trójki, rozciągniętego na ziemi.

– I co? – Rozłożyłam zachęcająco ręce.

Wpatrywał się we mnie z przerażeniem w oczach... i w końcu dodał dwa do dwóch.

Moja budowa ciała. Jasnoblond włosy. Martwi mężczyźni za moimi plecami, powaleni dzięki mojej nadnaturalnej sile, zamordowani bez trudu dzięki zdolnościom, które wydawały się niemal nadprzyrodzone...

– Ty... Ty musisz być... – wypowiedział te słowa ze zdumieniem graniczącym z podziwem. Uniósł trzęsącą się rękę i wskazał na coś za moimi plecami.

Wiedziałam, co to jest, nim jeszcze się obejrzałam – ale i tak to zrobiłam, mając nadzieję, że spróbuje mnie wówczas zaatakować, dając mi pretekst do zabicia i jego.

Tak jak mogłam się spodziewać, na ścianie, pośród nieczytelnych bazgrołów wysiedleńców, widniało graffiti – prosty, stylizowany wizerunek okrutnej bogini o lwiej grzywie, niczym korona białych płomieni okalającej jej twarz wykrzywioną w obietnicy zemsty.

Nad i pod nią, widniały jakże dobrze mi znane słowa:

NEMEZIS ŻYJE





Nieszczęśnik zaczął się wycofywać, pełznąć tyłem w głąb alejki.

– Nie rób mi krzywdy! – jęknął błagalnie. – Nie chciałem tego. Przysięgam, że nie chciałem. Proszę, Nemezis. Proszę...



*Sięgnij
po więcej!*



-  wydawnictwokobiece.pl
-  Wydawnictwo Young
-  [wydawnictwoyoung](https://www.instagram.com/wydawnictwoyoung)
-  [wydawnictwoyoung](https://www.tiktok.com/@wydawnictwoyoung)

Young